

Małgorzata Szymańska-Warda



Miasto

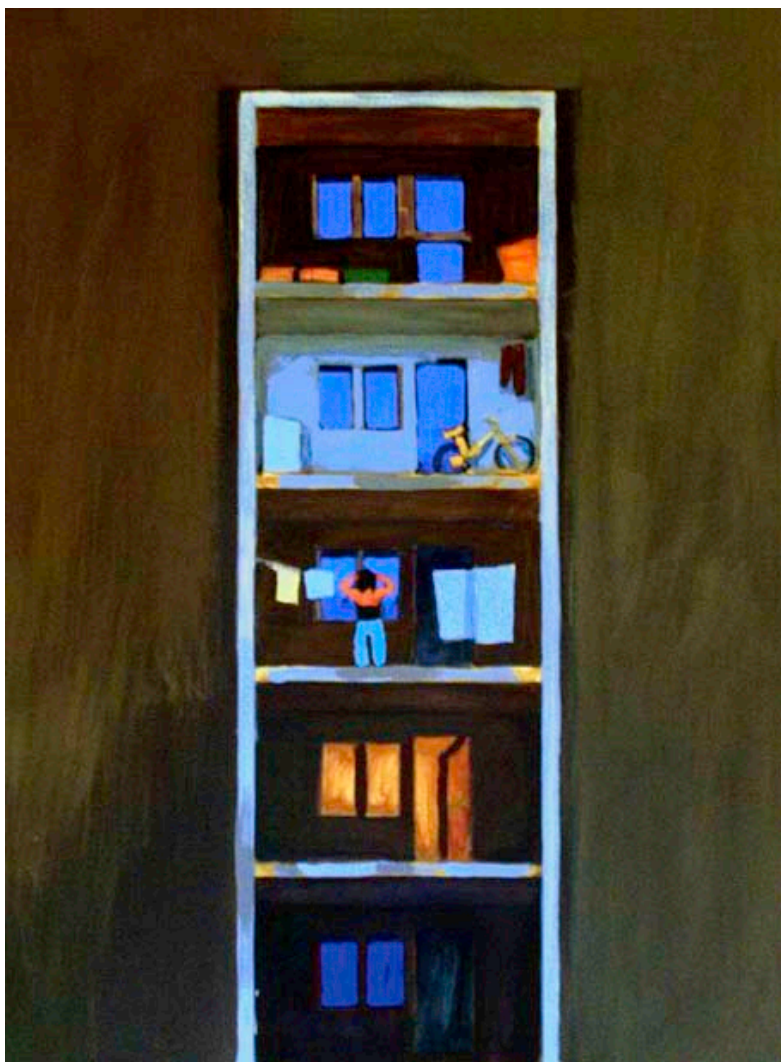


Miasto. Wielkie miasto. Zamknęłam oczy a kiedy je otworzyłam nic się nie zmieniło. Czerwone dachy na tle błękitu szyb najwyższych budynków, płatanina ulic układających się w wir. Grube krechy granatu. Chodniki. Bruk. Pomarańcz czyjś płaszcz. Co ja tu robię? Ułamek sekundy i wir wciągnąłby mnie w głęboką czeluść. Zacisnęłam dłonie na balustradzie. Jeszcze tylko jeden krok. O jeden krok za dużo. Kropla potu spadła mi na powiekę. Zatrzepotałam rzęsami, nabrałam głęboko powietrza. Spocone palce i uczucie zimna na plecach. Budynki wyginały się pode mną, wokół mnie. Tysiące szyb z równo przyciętego, nieprzezroczystego szkła. Odgłosy jezdni, pisk kół samochodów, trąbienie. A przecież nic się nie stało. Zimno rozlewało się po ciele, od pleców. Wiatr roztrzepywał włosy. Beznamiętnie łaskotały mnie po twarzy, przysłaniały obraz - złocista ruchoma zasłona. Źródło lęku pozostawało niejasne. Pojawił się nagle, wraz z wirującymi budynkami i słońcem odbijającym w szybach. Zdławił mnie, sprawił, że krzyknęłam, że stałam teraz drżąc na całym ciele, oblana potem, przeszyta lodowatym powietrzem tak, jakbym była cienką chustą, którą można przewiać na wylot. Aparat fotograficzny leżał gdzieś w wirze roztrzaskany na wiele kawałków. Starałam się tam nie patrzeć. Cofając się w głąb wieży dostrzegłam kolorowe drobiny ludzi zbierające się pod murem. Może spadając kogoś uderzył. Miasto, które jeszcze chwilę temu chciałam zamknąć w ciasnych ramach zdjęcia wydawało mi się odrażające. Zbyt duże, zbyt przesycone czerwienią i błękitem. Klęłam chowając statyw.

Nade mną przesunęła się chmara wielkich czarnych ptaków. Przecięły niebo i z głośnym krzykiem poleciały na wschód. Przecisnęłam się przez wąską szczelinę rozsuniętych płyt i ogarnął mnie chłód starego budownictwa. Klatka schodowa była wąska, odrapana, przesycona ostrym zapachem zgnilizny. Echo powielalo kroki na krętych schodach sprawiając, że cały budynek wypełnił się szczelnie ich dźwiękiem. Lęk jeszcze mnie nie opuszczał. Marzyłam, by wyjść na zewnątrz, by oślepiło mnie słońce, bym nareszcie wtopiła się w tłum. Zawadziłam statywem o barierkę. Klatka schodowa zadudniła od wysokiego tonu. Zatkanam uszy. Nieznośne uczucie deja vi. Czy to wszystko już kiedyś się rozegrało właśnie tutaj? Czy było prawdą, snem, ulotnym momentem świadomości na chwilę przed prawdziwymi wydarzeniami? Przez moment poczułam się jak kukła w teatrze, która odgrywa rolę napisaną tak wiele lat temu i tak znaną, że odtwarzało ją już tysiące aktorów. Ta sama scenografia. Zbyt dobra by ją wyrzucić i zrobić następną. Ta sama muzyka, echo tych samych kroków. To, co się dzieje oglądałam już tysiące razy w snach. Za każdym razem moja rola kończyła się inaczej. Rozpoznałam klatkę schodową i mój własny lęk tam, na górze. Dlaczego akurat to wydarzenie pojawiało się w moich snach i lękach? Potłuczony aparat fotograficzny, czarne stado ptaków. Przecież nic się właściwie nie stało.

Myślałam o tym, że deja vi powinno dotyczyć ważnych chwil życia, piętnować te wydarzenia, które mają dla człowieka największe znaczenie, dotykać spraw największych. Moje deja vi śnione tak wiele razy opisywało mnie w tej scenie: samotny aktor, którego nie filmuje żadna kamera,





gdyż wszystkie patrzę na rozbity aparat na chodniku, scena w błękitach i czerwieni. Na schodach uspokoiłam się. Statyw leżał koło mnie, okaleczony bez aparatu. To był dobry, drogi sprzęt.- pomyślałam i zdziwiłam się, że nie czuję żalu. Większą stratą wydała mi się tamta ulotna chwila, którą chciałam zamienić w wieczność a która przepadła i już się nie powtórzy: kobieta w oknie wieszająca pranie. Białe płachty pościeli na tle czerwieni cegieł, wydymające się jak żagle. W oknie obok uchwyciłam twarz dziecka przyklejoną do szyby, gołębie na parapecie wygrzewające się w słońcu. To byłyby dobre zdjęcia. Bardzo dobre. Podjęłam wędrówkę w dół. Schody kołysały się prawie niezauważalnie. Przez wąskie okno wpadała smuga światła. Gdzieś nisko otworzyły się drzwi i po chwili trzasnęły z hukiem. Tupot stóp na schodach, coraz niżej i niżej i niżej. Wychylając się dostrzegłam głowę kobiety. Smuga ciemnych włosów, biała dłoń na metalowej barierce. Znowu otworzyły się drzwi. Kobieta zadarła do góry głowę. Przez moment widziałam jej bladą twarz. Piętro wyżej pojawiła się mała rączka i fragment zielonego sweterka.

-Wracaj do góry!- krzyknęła kobieta. Głos miała ostry, nerwowy.

-Mamo, mogę iść z tobą?

-Wracaj natychmiast do domu i nie podchodź do okna!

-Mamo....dlaczego ja nie mogę popatrzeć?...

-Nie ma na co patrzeć. Nie wolno patrzeć na takie rzeczy!

Wracaj natychmiast do góry!

-Mamo...

-Natychmiast! Powiedziałam!

Rączka jeszcze przez chwile trzymała się barierki a potem niepewnie cofnęła w głąb piętra i znowu trzasnęły drzwi. Kobieta ruszyła w dół. Szłam wolno po jej śladach. Ludzie zabraniają innym tak wielu rzeczy. Decydują o tym jak patrzymy i na co patrzymy. Matka zabrania swojemu dziecku popatrzenia na coś, na co sama chce patrzeć. Myśli, że go ochroni, że na tym powinno polegać jej macierzyństwo. Pomyślałam o swoich zdjęciach. Ja też ograniczam ludziom patrzeć na wiele spraw. Patrzą na nie moimi oczami. Artykuł o mieście, w którym właściwie nie pojawiłoby się żadne zdjęcie ukazujące miasto. Miał zawierać tamtą kobietę wieszającą pranie za oknem, niebieskie szyby budynków, dzieciaka i gołębie na parapecie. Pomyślałam o kliszy, która zapełniłam już do połowy tym, co chciałam pokazać innym ludziom. Tym, jak ja widzę miasto. Część zdjęć robiłam nocą. Jasno oświetlone ulice, sypialnie, w których mieszka tak wielu ludzi. Zastanowiłam się, ile osób patrząc na światła wieżowców uświadamia sobie, że każde światło oznacza czyjeś życie. Dziewczynka w letniej sukience bujająca się na huśtawce w opustoszałym, ciemnym parku. Cholera. To były takie dobre zdjęcia. Materiał ulotny, zbierany przez ostatni tydzień. Ważny, przynajmniej dla mnie.

Klatka schodowa kończyła się wielkimi, obdrapanymi z farby drzwiami. Stając przed nimi uświadomiłam sobie, jak niewiele odczuwam. Nawet zimno przeszywające mnie tam, na górze teraz ustąpiło miejsca pustce, wielkiej pustce, w której powoli zaczynało brakować miejsca na żal i jakiegokolwiek inne odczucia. Pustka przeszywała mnie na wylot, sprawiała, że cała klatka schodowa zdawała się oplatać mnie ciasno, a kiedy zadarłam do góry głowę widziałam tylko płataninę schodów i pięter. Kolejny wir.





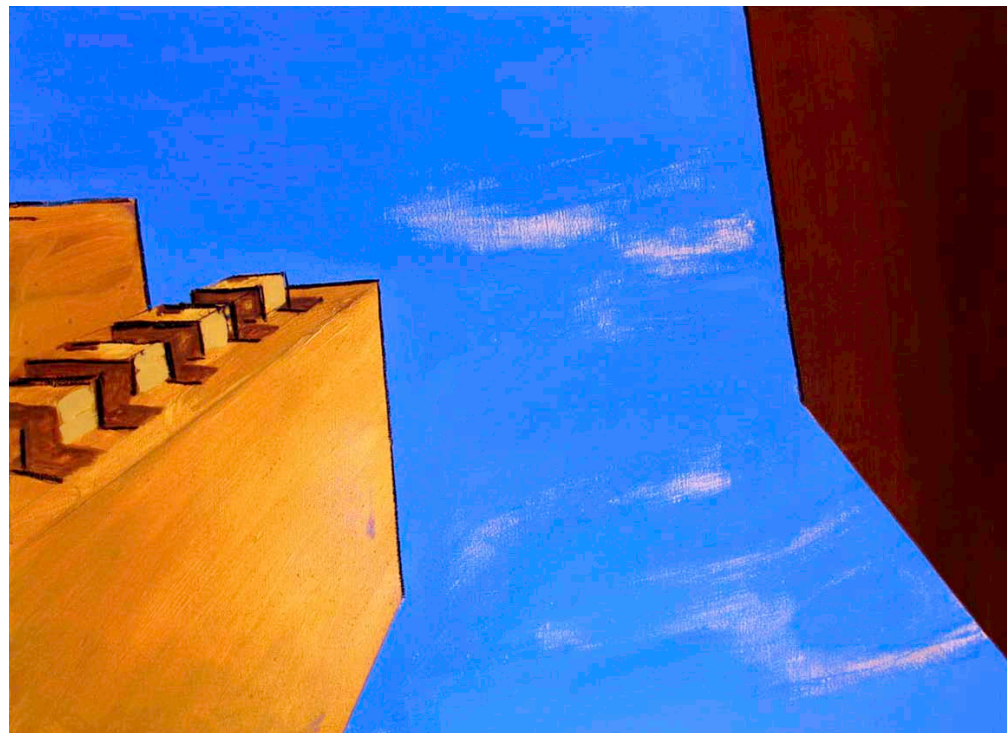
Zakręciło mi się w głowie, prawie upadłam. Wir wciągał mnie mocniej i mocniej. Przytrzymałam się ściany. Wysoka, gięła się nade mną. Szum w głowie i nieznośne, powracające uczucie, że to wszystko już było tylko miało inny finał. Ile razy byłam na tej klatce schodowej, ile razy wdrapywałam się po tych schodach, ile razy odczuwałam ten cholerny lek? Patrzyłam w wir schodów. Muszę stąd wyjść - pomyślałam i ta myśl napełniła mnie pewnością, że faktycznie muszę to zrobić bo inaczej oszaleję. Pchnęłam drzwi i wybiegłam na zewnątrz. Światło rozlało się po całej ulicy. W powietrzu kołowały odgłosy samochodów, nawoływania ludzi, szepczące głosy - wyciszone, jakby znajdowały się przy jakimś sacrum, które budzi lek. Tłum kolorowych ludzi otaczał skrawek zieleni. Pochylali się w jednym kierunku, rozmawiali cicho. Otaczała ich duchota lata. Tonęli w niej wszyscy. Parne powietrze miasta na tle czerwonej cegły domów i niebieskich szyb. Przetarłam oczy. Statyw. Nie miałam go w ręce, musiałam zostawić na klatce schodowej. Nagle stracił zupełnie znaczenie, kiedy pomyślałam, że miałabym wrócić tam po niego. Ruszyłam w kierunku ludzi. Kobieta, która schodziła przede mną po schodach stała oparta o trzepak i wachlowała się ręką. Gdzieś tam w tłumie było to coś, co w ten duszny dzień wygoniło ją z domu i przed czym chciała ochronić swoje dziecko. Sacrum, które budzi zabobonny lek. To musiało być coś ważnego. Widziałam to w ich twarzach, rozumiałam po cichych pomrukach i niepewnie odwracanym wzroku. To było coś, czego bali się, bo wiedzieli, że są tego częścią. Chciałam fotografować ich twarze, wydrzeć z nich ten strach i pokazać go w kolejnym artykule.

Jedna z kobiet podniosła z chodnika fragment aparatu fotograficznego. Drugi, podobny leżał u moich stóp. Schyliłam się ale nie podniosłam go. Mój wzrok przykuła dłoń widoczna zza wielkiego, brązowego buta, którego właściciel stał nieruchomo. Dłoń na skrawku zieleni. Bezradna, nieruchoma. Ludzie boja się śmierci. To ona właśnie jest tym czymś, czego będą musieli doświadczyć, przed czym chcą uciec, na co nie lubią patrzeć. Śmierć budzi w nich paniczny lek. Nie strach, bo strach tyczy się zrozumiałych dla nas zjawisk. Śmierć budzi lęk bo jest obca, bo jej nie umiemy zrozumieć, bo jest święta. Wieczna. To by było właśnie moje miasto. Ten tłum przerażonych gapiów i blada dłoń. Ta kobieta wachlująca się pod murem i ta kobieta zbierająca kawałki aparatu fotograficznego. Powoli wmieszałam się w tłum. Spośród płątaniny nóg wyławiałam fragmenty leżącego ciała. Niebieski golf, czarne spodnie, nogi rozrzucone nienaturalnie, dziwnie krzywe. Dłonie rozwarte, puste. Gdzieś daleko rozległo się wycie syren policji oraz kołujący dźwięk pogotowia. Stałam obok jakiegoś chłopaka. Płowe, rozsypane po trawie włosy, uchylone, puste oczy wpatrujące się w fragment błękitu nad wieżowcami.

Moja twarz, moje oczy.

Ja.

Paniczny lek sprawił, że krzyknęłam i zaczęłam drżeć na całym ciele. Nikt mnie nie słyszał, nikt na mnie nie patrzył. Leżałam na trawie i patrzyłam w puste niebo.



<http://www.grupamiejska.art.pl/>



Pierwsze ulotki Grupy Miejskiej powstały w grudniu 2004 i pojawiły się równocześnie na ulicach dwóch miast: Gdyni i Warszawy.

W piątą rocznicę tego wydarzenia wszystkim członkom i sympatykom grupy życzę wszystkiego najlepszego oraz wielu miłych wrażeń doznanych podczas odbywania spacerów nie tylko w mieście ale w każdym innym zakątku największego pomieszczenia świata - wolnym powietrzu.

Gubernator

Grudzień_2009